wroclaw.wyborcza.pl

Pies uratowany czy skradziony? Kulisy działań znanej organizacji prozwierzęcej

Karolina Kijek

30–39 minut

Łukasz Paczyński ze Świeradowa-Zdroju to przewodnik psich zaprzęgów i kilkukrotny mistrz Polski. Wiosną 2021 roku do jego bacówki na polach – robi też sery – pukają dwie osoby w czarnych kamizelkach.

– Powiedziały, że przyjechały na kontrolę – wspomina. – Córka była wtedy sama, pomyślała, że to inspekcja weterynaryjna i zaprowadziła do psów. Wizyta trwała dziesięć minut. Pokręcili się, coś nagrali na telefonie, powiedzieli formułkę o interwencyjnym odbiorze, po czym wzięli jednego psa i odjechali.

Jedzie z nimi 10-letnia suczka Emi. Według Paczyńskiego choruje. Niedługo później jej fotografię, z adnotacją "Konała z głodu u mistrza świata psich zaprzęgów", widzi na facebookowym profilu DIOZ. Jest też link do zbiórki na leczenie i jego fotografia z paskiem na oczach.

W komentarzach czytam: "Sk…lu, będziesz zdychał w męczarniach", "Sznurek z kamieniami i do studni z takim czubem", "Obyś bydlaku zdechł". Klienci przestają kupować jego sery.

Paczyński: – Nic złego nie zrobiłem, więc potrafiłem spać w nocy. Postanowiłem poczekać, aż ludzie zapomną.

O zniknięciu Emi zawiadamia policję, burmistrza i powiatowego inspektora weterynarii, który przyjeżdża po tygodniu od interwencji. "Kondycja wszystkich zwierząt oceniana jako dobra. Nie stwierdzono żadnych oznak znęcania się nad zwierzętami" – notuje w protokole weterynarz.

Zawiadomiona przez DIOZ prokuratura umarza sprawę. Burmistrz Świeradowa-Zdroju po trwającym ponad rok postępowaniu administracyjnym uznaje, że nie zgadza się na odbiór psa.

Tymczasem Emi od wielu miesięcy wyleguje się na kanapie u nowych właścicieli. Paczyński sam do nich dociera. Już ją tam zostawia. Pokazuje mi umowę adopcyjną między nimi, a DIOZ. – Choć organizacja nie miała prawa, już po dwóch miesiącach od interwencji oddała mojego psa do adopcji – mówi.

Prezes DIOZ tłumaczy, że zawsze tak robi. Bo nie będzie czekał latami na decyzję urzędników, jeśli jest szansa na nowy dom dla psa, a w razie nakazu zwrotu adres zna. Co do odebrania Emi uważa, że było słuszne. Mówi, że miała żebra na wierzchu i po zabraniu błyskawicznie przybrała na wadze.

Policja dla zwierząt

W dzieciństwie Konrad ogląda amerykański serial dokumentalny "Policja dla zwierząt". Też tak chce. Od 13. roku życia pomaga w schronisku, fundacji Mondo Cane i Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami. Gdy wyjeżdża w teren, pęka mu serce. Poza cierpieniem zwierząt, nic nie jest jak w serialu.

Urzędnicy narzekają, że pytaniami o pieniądze na schroniska dokłada im roboty. Policjanci niechętnie przyjmują zgłoszenia. Prokuratorzy umarzają sprawy lub odmawiają wszczęcia postępowania – do dziś większość spraw w Polsce tak się kończy.

Po liceum wybiera studia prawnicze, żeby sprawnie poruszać się w gąszczu przepisów. Ma 19 lat, gdy zakłada DIOZ. Pomaga mu Krystyna Pietruszka, starsza o dwa pokolenia wolontariuszka. On zostaje prezesem, ona zastępczynią.

Interwencja przedstawicieli Dolnośląskiego Inspektoratu Ochrony Zwierząt (DIOZ) Fot. Piotr Bera / Agencja Wyborcza.pl

Remedium na ciągły brak pieniędzy stają się internetowe zbiórki. DIOZ pokazuje na zdjęciach wielkie guzy, brak sierści, wystające żebra. Na filmach z interwencji – łańcuchy, nieocieplone budy, domy przypominające wysypiska. Internauci są poruszeni i hojni.

Siedziba organizacji przenosi się z domu babci Konrada do dzierżawionego pałacu w Dziwiszowie w powiecie karkonoskim. Pod koniec 2020 roku zmienia adres na poniemieckie gospodarstwo w Pietrzykowie w powiecie świdnickim, które już DIOZ kupuje.

W ośrodku DIOZ w Pietrzykowicach

Pierwszy raz odwiedzam ich jesienią 2022 roku. Witają mnie dziesiątki wolno biegających psów. To głównie schorowane i starsze, których nikt nie chce adoptować.

Kuźmiński opowiada mi historię każdego, którego wskażę. Mówi, że od właścicieli odbieranych zwierząt słyszy to samo: "Karma skończyła się wczoraj", "Miska jest pusta, bo woda się wylała", "Akurat jutro mamy wizytę u weterynarza", "Nie mamy jak myśleć o psie, bo jest rodzinny dramat".

W Pietrzykowie mają mieć lepiej. Właśnie trwa remont, po którym gospodarstwo zmieni się w azyl dla zwierząt. Z piętra poprowadzi kładka do oranżerii z widokiem na ogród, w której będą się wylegiwać. Dla mniej socjalnych psów powstaje rząd domków z zamkniętymi ogródkami. Brakuje jeszcze drzwi i okien.

DIOZ jest na fali. Organizację obserwują w sieci setki tysięcy osób – jak czytam w jednym z wpisów. I że to "armia, która jest w stanie namierzyć każdego oprawcę". Za swoją działalność dostaje międzynarodową nagrodę Briana Daviesa – to jak filmowy Oscar. O Kuźmińskim – Polaku, który ratował psy podczas wojny w Ukrainie – rozpisuje się brytyjski "Guardian".

2022 rok DIOZ zamyka sumą 4,5 mln zł na plusie, w 2023 roku ma 9 mln zł na czysto. Po czasie liczba psów wzrasta do 500, a liczba

pracowników – do ponad 80. Organizacja otwiera drugi ośrodek w Wojtyszkach, w województwie łódzkim.

Sprawdzam, czy są zastrzeżenia. Dolnośląski Urząd Wojewódzki, który kontrolował wydatki z 1 proc. podatku, nie ma żadnych uwag. Z kolei portal RatujemyZwierzaki.pl zakazuje zakładania nowych zbiórek, bo organizacja nie rozliczała się z ich efektów.

Kuźmiński wyjaśnia, że DIOZ każdą zbiórkę rozliczył, a później zrezygnował ze współpracy, bo portal pobierał 7 proc. ze zbiórek i wymagał działań, na które organizacja nie miała czasu, jak publikowanie całej masy zdjęć.

Fot. Piotr Bera / Agencja Wyborcza.pl

Jak Ajdan wylądował w DIOZ

Wiosną ubiegłego roku DIOZ wrzuca do sieci zdjęcie owczarka podhalańskiego. Prosi o wsparcie dla Okruszka – takie dostaje

imię.

"Środek drogi S8, kierunek Wrocław-Łódź i on na pasie zieleni. Zmarznięty, drżący i niemogący ustać na łapkach" – pisze organizacja. – "Co mu jest? Jeszcze nie wiemy, ale ewidentnie coś go cholernie boli".

W tym czasie właściciel owczarka, Mateusz Dyktyński, siedzi na komendzie policji w Zduńskiej Woli. Chce zgłosić zaginięcie Ajdana, bo tak naprawdę nazywa się pies. Ktoś nie domknął bramki i wyszedł z podwórka. Rodzina szuka go całe popołudnie, do sieci wrzuca też informację o tysiącu złotych nagrody za pomoc w odnalezieniu.

Policjanci widzą wpis o Okruszku. Mówią, że został odnaleziony i jest w DIOZ, ale nie brzmią uspokajająco.

– Powiedzieli, że odebranie go stamtąd nie będzie proste – pamięta Dyktyński. – Pomyślałem: co oni gadają? Słyszałem, że to dobra organizacja, która pomaga zwierzętom.

O tym, że policjanci mają rację, Dyktyński przekonuje się w drodze do ośrodka DIOZ w Wojtyszkach.

– Pisałem mejle i dzwoniłem co najmniej 50 razy – opowiada. – Raz odebrali i powiedzieli, że nie wiedzą, czy oddadzą mi Ajdana. Muszą sprawdzić, jakie ma warunki. Mieli oddzwonić, ale tego nie zrobili.

Przez 2,5 godziny stoi przed wejściem do ośrodka. Woła i dzwoni, ale nikt nie otwiera. Wraca do domu po północy i obiecuje płaczącym córkom, że Ajdan wróci. Rano znów jedzie do Wojtyszek i wchodzi na teren ośrodka pod pretekstem adopcji psa. Gdy przyznaje, że chce odzyskać swojego, atmosfera gęstnieje.

– Pracownicy mówili, że psa nie wydadzą, bo szefa nie ma – pamięta.

Dyktyński dzwoni na policję. Razem z policjantami, książeczką zdrowia i potwierdzeniem, że Ajdan jest pod opieką weterynarza, czekają na prezesa DIOZ.

– Przyjechał i zapytał, po co robię cyrk. Przecież jakbym zadzwonił i wyjaśnił, to by mi psa oddali – mówi Dyktyński.

Oprócz psa, dostaje też fakturę za leczenie na 1,1 tys. zł. Zanosi ją na policję z zawiadomieniem o przywłaszczeniu psa. Weterynarz odkrywa, że Ajdan już został zachipowany na dane DIOZ, a właściciel – że na jego psa zebrano na zbiórkach około 20 tys. zł.

Organizacja w oświadczeniu tłumaczy, że to policja "formalnie zabezpieczyła psa" i tylko ona mogła zdecydować o jego wydaniu. Poza tym DIOZ poprosił właściciela o przesłanie dowodów, że to jego zwierzę i sprawuje nad nim dobrą opiekę.

Kuźmiński podkreśla, że DIOZ już postanowił, że nie przyjmuje zwierząt bezdomnych, czy błąkających się. Bo to rodziło problemy, więc odsyła do schroniska.

– W tej historii zaskoczyła mnie lawina wiadomości i telefonów od obcych ludzi – mówi Dyktyński. – Chcieli nas podtrzymać na duchu, że może chociaż nam uda się odzyskać zwierzę. Im się nie udało.

DIOZ. Niejasne przepisy ustawy

Na biurkach prokuratorów i policjantów piętrzą się zgłoszenia. Jedne – od DIOZ o złym traktowaniu odebranych zwierząt. Drugie

– od właścicieli, o kradzieży i naruszeniu miru domowego przez DIOZ.

Ustawa o ochronie zwierząt mówi, że organizacje mogą odebrać zwierzę, gdy u właściciela jego życie lub zdrowie jest zagrożone. Problem w tym, że prawo nie precyzuje, co to dokładnie znaczy i jak taka interwencja ma wyglądać. Na luki w przepisach zwracał uwagę Rzecznik Praw Obywatelskich.

Kuźmiński wyjaśnia, że DIOZ interpretuje ustawowe przesłanki bardzo szeroko.

Pies na łańcuchu – do odbioru. Zaropiałe uszy, grzybica – do odbioru. Zapchlony, bez wody czy szczepień – do odbioru.

Przy czym do części zgłoszeń DIOZ nie jeździ. Wymaga zdjęć i filmów, bo przecież masa ludzi po złośliwości zgłasza sąsiada, rodzinę czy teściów.

– Nie widzę sensu odbierać starszej pani psa, który wyłysiał na grzbiecie, bo go nieudolnie leczyła – mówi mi przedstawicielka innej organizacji dla zwierząt. – Taką panią i jej zwierzę trzeba zaprowadzić do weterynarza. Naszą rolą jest przecież pomagać.

Na stronie DIOZ czytam, że może wejść na teren prywatny, a gdy właściciel stawia opór – zastosować środki przymusu bezpośredniego. Kuźmiński podkreśla, że prawo nie wymaga obecności służb. Poza tym wszystko nagrywa.

Kom. Przemysław Ratajczyk z dolnośląskiej policji zaznacza, że Kuźmiński się myli.

– Jeśli właściciel nie zgadza się na wejście na posesję, interwencję powinna przeprowadzić policja lub straż miejska. Tylko one mają uprawnienia do stosowania przymusu bezpośredniego –

zaznacza.

Prawo nakazuje też "niezwłocznie" zawiadomić gminę o odbiorze zwierzęcia. Ta bowiem musi sprawdzić, czy rzeczywiście było skrajnie zaniedbane i co z nim dalej.

– "Niezwłocznie" powinno oznaczać "natychmiast" – wzdycha urzędniczka. – Tymczasem bywa, że takie zawiadomienie od DIOZ przychodzi po pół roku.

Słyszę, że w przypadku DIOZ służby decydują ostrożnie. Boją się hejtu. Organizacja publikuje bowiem zdjęcia nie tylko właścicieli psów, ale też prokuratorów czy dane urzędników, którzy działają nie po jej myśli.

– Skoro organy państwa stawiają zarzut, że DIOZ kradnie, to pokazujemy całą historię. Czyli jakie zwierzę „ukradł", z jakich warunków i kto stwierdził, że to była kradzież. Podpisuję się pod swoimi działaniami imieniem i nazwiskiem, więc inni też powinni odpowiadać za swoje decyzje – mówi Kuźmiński. – Ciągle powtarzam: nie odbieramy zwierząt „z różowych poduszek". Przeprowadziliśmy tysiące interwencji i uważam, że ani razu nie zdarzyło się nam się odebrać takich, które miały odpowiednie warunki lub były w dobrym stanie. Poza tym nigdy nie musieliśmy żadnego zwrócić właścicielom.

Prezes DIOZ zapewnia, że teraz o odbiorze zawsze szybko zawiadamia gminę. Przyznaje, że kiedyś organizacja bawiła się z urzędnikami "w kotka i myszkę". To "błędy młodości".

DIOZ pod lupą prokuratury

O tym, że DIOZ "uniemożliwiał bądź utrudniał" pracę urzędników, nie wskazując miejsca pobytu zwierząt po odebraniu, napisała też

w akcie oskarżenia prokuratura w Jeleniej Górze.

Wzięła pod lupę interwencje Kuźmińskiego z lat 2014-2018 i oskarżyła go o przywłaszczenie w sumie kilkudziesięciu zwierząt.

Biegły uznał przykładowo, że kundelek Reks miał opiekę weterynarza, dobre warunki i nieoperacyjnego guza – wystarczyło pouczyć właścicielkę, by zadbała o sierść. Co do psa Hektora, poza biegłym, także trzech lekarzy weterynarii uznało, że do odbioru nie było podstaw. "Trudno zrozumieć, jaka merytoryczna podstawa uzasadniała podjęte działania" – napisali śledczy w akcie oskarżenia.

Prezes DIOZ zaznacza, że organizacja zasięgnęła opinii profesora weterynarii, który z kolei nie miał wątpliwości: interwencje były zasadne.

– Nasza odpowiedź na ten akt oskarżenia miała 150 stron – mówi Kuźmiński. – Połowa właścicieli, od których rzekomo ukradliśmy te zwierzęta, została prawomocnie skazana za znęcanie się nad nimi.

Prokuratura oskarżyła go też o naruszenie miru domowego i zastosowanie przemocy fizycznej – miał uderzyć ręką właścicielki o karoserię auta.

Poza tym wróciła do umorzonej przed laty sprawy. W czasach, gdy Kuźmiński działał w TOZ, używał nieistniejącej funkcji „koordynatora ds. interwencji i obsługi prawnej" – dzięki temu uczestniczył w rozprawach i przeglądał akta. Według prokuratury podpisywał też urzędowe pisma cudzymi danymi. Śledczy wtedy odpuścili ściganie, bo Kuźmiński sam to zgłosił i był nastolatkiem. Ale później odkurzyli stare akta i zarzucili mu

fałszowanie dokumentów.

Na ławie oskarżonych w Sądzie Rejonowym w Jeleniej Górze zasiadła również wiceprezeska DIOZ, też oskarżona o przywłaszczenie i naruszenie miru. Oboje nie przyznali się do winy, powołując się na Ustawę o ochronie zwierząt.

Proces toczy się od kilku lat. Ostatnio utknął.

– Sprawa jest obecnie bez sędziego referenta – mówi mi w październiku Tomasz Skowron, rzecznik jeleniogórskiego sądu okręgowego. Dotychczasowy sędzia choruje, a ostatnia wyznaczona sędzia jest na zwolnieniu lekarskim. Pozostali złożyli wnioski o wyłączenie od rozpoznania sprawy.

Aleks stał się Zbyszkiem i wylądował w DIOZ

Justyna Stępień kładzie na stole teczkę z dokumentami, które opisują historię Aleksa, jej owczarka niemieckiego.
Zaginął jesienią 2021 roku – i znalazł się we wpisie DIOZ pod nowym imieniem Zbyszek. Na zdjęciu pies stoi nad miską. Ma wygolone futro, widać żebra. Organizacja pisze, że błąkał się, szukając jedzenia na polach w okolicy Bolkowa.

Zbiórka DIOZ na owczarka niemieckiego, Aleksa fot. Screen z RatujemyZwierzaki.pl

Jest też fotografia Justyny z paskiem na oczach. DIOZ opisuje, że to kandydatka do rady miejskiej. Zbiórkę na leczenie psa tytułuje: "Zagłodzony owczarek u rodziny polityków". Składa też zawiadomienie o znęcaniu się nad psem.

– Przeszliśmy gehennę, której nikomu nie życzę – mówi Stępień. – Dostaliśmy setki nienawistnych wiadomości. Ludzie dzwonili i grozili, że nas zabiją. Pluli mi na samochód. Przez pół roku nie wychodziłam z domu.

Jej mąż próbuje odebrać Aleksa w obecności policji. Nie udaje mu się. Zawiadamia prokuraturę, że pies został przywłaszczony. Przez miesiąc liczy, że śledczy pomogą odzyskać psa, ale nie chce dłużej czekać. Jedzie znów do DIOZ, daje stróżowi 100 zł, a ten przyprowadza Aleksa.

O tym czytam w ustaleniach prokuratury. Śledczy opisują, że mąż Justyny jedzie bezpośrednio z siedziby DIOZ do weterynarza. Ten widzi ropną wydzielinę w uszach Aleksa i dużą ilość odchodów pcheł. Pies waży 43,5 kg, więc nie jest zagłodzony. Został wykastrowany bez wiedzy właścicieli.

Prokuratura prawomocnie umarza postępowanie przeciwko małżeństwu. Opisuje szereg przesłanek: szukali go po zaginięciu, na zdjęciach wyglądał "poprawnie", mieli dokumentację weterynaryjną, regularnie go szczepili. Nikt też nie widział, by

Aleks był krzywdzony.

"Nie da się jednak zaprzeczyć, że po odebraniu psa z DIOZ, w którym przebywał przez około miesiąc, był zaniedbany" – dopisuje w postanowieniu o umorzeniu prokurator.

Przedstawiciele DIOZ próbują odebrać Aleksa. Przyjeżdżają w nocy, wybucha awantura. Relacjonują, że zostali zaatakowani bronią i siekierą. Policjant, z którym wtedy rozmawiałam, zachowawczo ocenia, że "na prywatną posesję weszło kilka osób i doszło do konfliktu". Zabezpieczono wiatrówkę, a jedną osobę pogotowie zabrało do szpitala.

– To była nasza nastoletnia córka. Wybiegła z domu i ktoś z DIOZ-u spryskał ją gazem pieprzowym - mówi Justyna, pokazując szpitalny wypis. Dziewczynka wciąż jeździ na wizyty do psychoterapeuty i psychiatry.

Dzieci Justyny były wyzywane od "zwyroli", więc zrezygnowały ze stacjonarnej nauki i uczą się w "szkole w chmurze".

Kuźmiński uważa, że z tym psem też nie było dobrze. W publikowaniu wizerunków właścicieli nie widzi niczego złego. Mówi, że "patologiczne zachowania powinny być piętnowane z całą stanowczością".

– Jeśli chodzi o opiekę nad zwierzętami, dla mnie wyznacznikiem tego minimum są schroniskowe normy. A prawda jest taka, że w naszym kraju bezdomne psy w schroniskach często mają lepiej, niż te żyjące na polskich wsiach – mówi Konrad Kuźmiński.

Prezes DIOZ: Ktoś musi brać na siebie cały ostrzał

W październiku, po trzech latach od poprzedniej wizyty, wracam do Pietrzykowa. Chcę porozmawiać o zarzutach wobec

organizacji.

Kilka tygodni wcześniej zapadł pierwszy prawomocny wyrok, skazujący Kuźmińskiego i innego przedstawiciela DIOZ, Eryka Złotego, za kradzież zwierzęcia podczas interwencji. Mają zapłacić grzywny. Pod prośbą o kasację do RPO i prokuratora generalnego podpisało się kilkadziesiąt tysięcy osób.

DIOZ-em zainteresowało się też CBŚP i prokuratura w Świdnicy. Śledczy analizują, czy interwencje były zgodne z prawem – póki co, do śledztwa dołączyli 14 spraw z różnych części Polski. Weryfikują też, na co wydawano pieniądze z internetowych zbiórek. Badają, czy zabiegi na zwierzętach wykonywały osoby z uprawnieniami. Dotychczas przesłuchali ponad 80 świadków – w tym właścicieli Emi i Aleksa.

Kuźmiński wylicza: finanse organizacji są weryfikowane na wiele sposobów, DIOZ współpracuje z lekarzami weterynarii, ma zgodę na przechowywanie i stosowanie leków, zakład leczniczy dla zwierząt był zarejestrowany. Podkreśla, że w tej sprawie nadal nie ma zarzutów.

– Połowa zwierząt, które u nas żyją, według niektórych nie powinna być odebrana. No i trudno, przynajmniej nie dyndają na łańcuchach i nie siedzą w kojcach, z których nigdy nie wychodzą – mówi. – Uważam, że wszystkie odebraliśmy zasadnie. A nawet jeżeli na tysiące interwencji mieliśmy pięć wpadek, to i tak to jest promil. I to mnie najbardziej boli, jeśli chodzi o opisywanie naszej działalności.

Uważa, że wszystkie zarzuty to po prostu cena działalności publicznej. Tak samo jest w polityce.

– Ktoś musi być prekursorem, brać na siebie cały ostrzał i iść

taranem – uważa. – Dzięki temu inne organizacje przestały się bać i tylko prosić ludzi zaniedbujących zwierzęta, żeby je łaskawie oddali, a zaczęły po prostu odbierać. Przegłosowania ustawy zakazującej trzymania psów na łańcuchach też pewnie nie byłoby, gdybyśmy wcześniej nie zaczęli ściągać z nich zwierząt. Jestem pewny, że DIOZ zostawi system ochrony zwierząt w lepszym stanie, niż go zastał.

W tym roku świętuje 9-lecie istnienia. Ośrodek w Pietrzykowie zaczyna wyglądać tak, jak Kuźmiński sobie wymarzył. Wyremontował gospodarstwo, domki dla psów są już gotowe, do oranżerii prowadzi pomost.

– O naszych finansach najwięcej do powiedzenia mają ci, którzy nigdy nic nie wpłacili – mówi prezes DIOZ. – Nasi darczyńcy to mniej więcej stała grupa ludzi. Obserwują naszą codzienną działalność i po prostu wiedzą, co z tymi pieniędzmi robimy. Czasem nawet wysyłają nam pieniądze z dopiskiem: "Kupcie sobie mercedesa i jedźcie na wakacje".

Redagowała Joanna Dzikowska, Leszek Frelich

MASZ DLA MNIE TEMAT?

Karolina Kijek
karolina.kijek@wyborcza.pl